



Napisał: Michał Fotyma

Ilustrował: Wiktor Sadowski

Profesor Danielsen przerwacał się na swym posłaniu z boku na bok nie mogąc zasnąć. Był zbyt zmęczony i zdenerwowany. Ciągłe nie miał pewności, czy postąpili słusznie. Ale teraz to już nie miało znaczenia, bo niczego już nie można było zmienić.

Wspomniał ostatnią rozmowę albo raczej nie planowaną, nieformalną naradę tuż przed włączeniem układu. Miała ona miejsce w dyspozytorni „Nadziei”, pierwszej w świecie elektrowni czasowo-przestrzennej. Zbudowano ją korzystając z teorii przeciwbieżnych wszechświatów, stworzonej przez ułomnego, ślepego fizyka o genialnym umyśle, Horotari Kiyorehira Otoo. Zgodnie z teorią, można było, mówiąc w uproszczeniu, „wejść” w styk dwóch wszechświatów o równoległych, przeciwnie skierowanych czasach. Przewalały się tam niewyobrażalne, nieprzebrane energie, regulując współzależności istnienia obu wszechświatów. Drobnym ich ułamek, nie liczący się

odprysk wystarczyłby z nadmiarem na potrzeby całej Ziemi.

Ale praktyczne zastosowanie teorii budziło zastrzeżenia. Minimalna moc, przy której taki układ mógłby działać, byłaby olbrzymia, wystarczająca dla kilku krajów europejskich. W dodatku układ z samego założenia miał się odznaczać długim czasem odpowiedzi; na przykład pomiędzy poleceniem wyłączenia a wykonaniem rozkazu miało upłynąć co najmniej kilkanaście minut. Kilkanaście minut... Skóra cierpła, gdy ktoś usiłował wyobrazić sobie, co działo się w ciągu tego czasu w razie awarii, przy tak potwornej mocy. Co więcej, uruchomienie układu oznaczało zmianę zależności czasu i przestrzeni, zapewne bez znaczenia, ale... tylko zapewne. Teoria Otoo nie precyzowała tego problemu, brakło podstaw.

Energia była potrzebna, potrzebna rozpaczliwie, bo już jej nie starczało. A według teorii można by jej mieć tyle, ile by się chciało.

Powołano więc sztab złożony z najlepszych specjalistów z wielu dziedzin i po kilku latach ciężkiej pracy zbudowano pierwszy, prototypowy układ. Należało go włączyć.

I oto nadeszła chwila, kiedy stanęli w dyspozytorni, za pancernymi szybami, przez które było widać nie kończące się, olbrzymie zabudowania zespołu fabryk, tworzących elementy układu. Tonący brzytwy się chwyta, choć wie, czym to grozi. Świat ginął z braku energii, nie było wyboru. Dlatego właśnie nazwali prototyp – „Nadzieją”, bo istotnie była to ostatnia nadzieja. Włączyli układ.

Hen, daleko na horyzoncie zapłonął słaby blask, przebijając się z trudem przez dymy i pyły zawieszony w powietrzu. Zadziało serce układu – umieszczone na szczytach gór chronoenergokonwertory, zamocowane na kilkukilometrowych, ażurowych wieżach. Unieruchomiono kilkaset fabryk, aby je zasilić. Na razie pobierały energię, za jakiś czas miały ją generować, otworzywszy styk dwóch czasów. Teraz należało czekać, może kilka godzin, może dłużej.

Wszyscy byli zmęczeni. Profesor Danielsen wysłał pół ekipy na odpoczynek, sam został – postanowił czekać wraz z pozostałymi, aż układ rozpocznie pracę. Był zmęczony jak inni, oczy mu się same zamykały, aż jego zastępca, doktor Nyski, niemal zmusił go, aby się przespał choć godzinę. Profesor ustąpił, polecając się obudzić, gdy coś się zacznie dziać. I teraz nie mógł usnąć.

★ ★ ★

Załomotały szybkie kroki, drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadł doktor Nyski.

– Zaczęło się! Straszne rzeczy!
– Biegnę!

Profesor zerwał się, jakby mu ubyło połowę lat. Razem pobiegli do dyspozytorni. Profesor dopadł do pulpitu, objął spojrzeniem zegary: wskazania były mniej więcej zgodne z przewidywanymi. Układ dawał moc, moc wręcz potworną i stale rosnącą. W okienku miernika widoczne były dwie pierwsze cyfry: dwadzieścia pięć. Pozostałe migwały w szalonym tempie: dwieście pięćdziesiąt, nie, już dwieście sześć-

dziesiąt gigawatów! Moc dalej rośnie! A układ jest obliczony na pięćset, z niewielką rezerwą...

– Nic to! – Nyski szarpnął go za ramię. – Tam! Za oknem!

Profesor spojrział i nogi ugięły się pod nim. Zamiast znanego widoku ogromnych zabudowań, ujrzał szarą, kotłującą się nicość, jakieś nieporównywalne z niczym chmury, czy góry? Nawet w przybliżeniu nie umiał tego określić. I to olbrzymie coś – czy może nic – z wolna sunęło ku nim.

– Trzysta! – wrzasnął ktoś od pulpitu. – Co robić?

Profesor zwrócił się do współpracowników.

– Nic – powiedział, dziwiąc się swemu spokojowi. – Potrzebuję trzech, czterech ochotników do pomocy. Reszta może jeszcze zdążyć...

Nikt się nie poruszył. Nyski pierwszy pokręcił głową i mruknął:

– Zostaję.

– Ja też – dorzucił ktoś z tyłu. Inni powtórzyli to samo, zostali wszyscy.

– Trzysta pięćdziesiąt!

– Proszę obliczyć przypuszczalne maksimum – zarządził Danielsen.

Programista zespołu przekazał polecenie komputerowi. Po sekundzie na ekranie pojawił się wykres i matowy głos oznajmił:

– Przypuszczalne maksimum pomiędzy pięćset dwadzieścia i pięćset sześćdziesiąt pięć gigawatów. Czas osiągnięcia – około dwudziestu minut.

– Układ powinien wytrzymać, linie przesyłowe też – rzekł Nyski. – Ale... to? – wskazał okno.

Szara nicość pełzła ku nim. Pozostało może dwieście metrów. Kolejne zabudowania powoli nikły.

– Uściślam dane – rozległo się z głośnika. – Maksimum pomiędzy pięćset trzydzieści i pięćset pięćdziesiąt gigawatów. Czas osiągnięcia – około piętnastu minut.

– Nieźle – rzucił profesor. – Może i to – to coś – zatrzyma się?

Szara nicość istotnie pełzła coraz wolniej. Wewnątrz niej migwały chwilami jakieś ciemne kształty.

Na pulpicie zabłysło ostre, czerwone świat-

ło, rozległ się sygnał alarmu. Głośnik odezwał się znów:

– Nieznany czynnik zakłóca pracę urządzeń rejestracyjnych. Automatyczna koordynacja pomiarów przestaje działać.

– Sterowanie ręczne! – rozkazał Danielsen.

Większość obecnych rozbiegła się, każdy wiedział, co ma robić w takim wypadku.

– Uściślam dane – włączył się znów komputer. – Maksimum około pięćset trzydzieści pięć gigawatów, czas osiągnięcia pięć minut.

– Profesorze! To... to coś stoi! – poderwał się Nyski.

– Albo prawie stoi – zgodził się profesor. – Chyba jest to związane z mocą.

– Profesorze! Komputer też... – zawołał programista.

Jednocześnie z głośnika buchnął metaliczny ryk i bełkot:

– Maksimum!... pięćę...

Nagle ryk i bełkot ucichły.

– Wyłączyłem go – rzekł ponuro programista. – Też oszalał...

– Moc stała, pięćset trzydzieści, reszta jeszcze pełźnie.

– To... ta mgła... nie rusza się.

– Co robimy?

Profesor zastanowił się.

– Na razie prowadzimy obserwację i pomiary. Po dwóch, trzech godzinach zobaczymy...

Po wyłączeniu komputera pracy nikomu nie brakło – trzeba było notować dane. Ale niebawem większość parametrów ustaliła się, moc także przestała rosnać, mgła w oddali stała nieruchomo, nic się nie działo.

– Bez komputera niewiele zrobimy – rzekł Nyski. – Oczywiście, opracujemy to wszystko, ale nie na bieżąco.

– Cóż, na razie zbieramy dane. „Nadzieja” działa, moc idzie w świat, ale ta... ta mgła, czy co to jest, uszkodzenie koordynacji, uszkodzenie komputera!... – profesor pokręcił głową. – Przewidywaliśmy kłopoty, no i mamy je. Dobrze, że tylko takie.

– Czy nie należałoby wyłączyć? Mamy i tak mnóstwo danych.

– Chyba tak zrobimy, ale nie od razu. Potrzymajmy jeszcze to wszystko tak jak jest – i mierzymy, co się da.

Nyski nie odpowiedział. Błąd jak papier, patrzył za okno. Profesor poszedł za jego spojrzeniem i skamieniał.

Mgła znikła, zamiast niej pięły się ku niebu olbrzymie sosny i świerki, poprzątkane różnymi krzewami. Tu i ówdzie strzelały w górę potężne, rozłożyste dęby i brzozy.

– Co to jest? – jęknął Nyski.

* * *

Gałęzie drzew poruszyły się lekko, potem mocniej ku garstce ludzi stojących przed zielonym ogromem. Powiał wiatr. Mocny, długi powiew przyniósł ze sobą nie znaną im woń. Była wspaniała, cudowna... Profesor Danielsen stwierdził ze zdumieniem, że jest mu tak błogo i wesoło, jak nigdy dotąd, że podskakuje i śpiewa na cały głos. Inni też śpiewali, skakali, przewracali się i tarzali po twardym bruku.

Ustał powiew, znikła cudowna woń. Wszyscy uspokoili się nagle, odetchnęli głęboko.

– Gdzie my jesteśmy? – Nyski rozejrzał się.

Stali przed ścianą lasu, a daleko, daleko od nich widniał budynek dyspozytorni. Kiedy tu przyszli? Nie pamiętali...

– Wracajmy – rzekł profesor.

Poszli szybko w stronę dyspozytorni. Po chwili z tyłu dopadł ich podmuch wiatru, przez chwilę znów otoczyła ich błoga woń, ale zaraz znikła, pozostawiając jakąś nieokreśloną tęsknotę. Profesor nagle przypomniał sobie: tak, dawniej podobno były takie skupiska swobodnie rosnących dużych roślin, a nawet, jak niektórzy twierdzili, było ich dużo. Może to prawda?

Nagła, niespodziewana myśl poraziła profesora: przesunięcie czasowe! Uruchamiając „Nadzieję” włączyli się w styk dwu przeciwbieżnych czasów! Może ich czas cofnął się w tym miejscu, gdzie jest ten... ten zbiór roślin? Możliwe... ale jak to sprawdzić?

Chrapliwy skrzek rozległ się nad głowami idących, jakiś czarny przedmiot śmignął po brudnoszarym niebie i zawrócił ku lasowi. Profesor mimo przestachu stwierdził mimochodem, że nad zieloną ścianą drzew niebo ma cudowny, błękitny kolor i że płyną po nim białe, pokłębione chmury.



– Co to było? – Nyski trząśł się, inni poszarzeli na twarzach.

Profesor pogrzebał w swej encyklopedycznej pamięci:

– Chyba... ptak. Żywe, latające stworzenie, żyjące w lesie. Bo to tam, za nami, to jest las. Tak to nazywali dawniej, bardzo dawno temu.

Nyski obejrzał się i zawołał:

– On nas goni!

Istotnie, wyglądało na to, że las goni ich. Bruk na skraju lasu zamieniał się w ziemię, w mgnieniu oka wyrastały tam niebosiężne drzewa, pomiędzy nimi wyskakiwały w górę krzewy, ściana lasu w oczach zbliżała się ku nim.

– Do dyspozytorni! Prędej!

Popędzili wszyscy, z profesorem na czele. On pierwszy wpadł do budynku i rzucił się do pulpitu. Moc, moc! Ile? Sześćset dwadzieścia gigawatów i dalej rośnie!

Las zbliżał się nieubłaganie. Pożarł ostatnie zabudowania, rozwiła się w nicość kamienna kolumna przed dyspozytornią, pnie drzew wyrosły tuż przed oknem, potem okno też znikło, otoczył ich las. Rdzawe pnie sosen, chropawa kora dębów, świergot ptaków, niebieskie niebo ponad głowami, nieporównywalny, leśny aromat... Nagle rozległ się łomot ciężkich kroków. Spomiędzy gestwiny wychynął człowiek ubrany w cudaczny, włochaty strój, wyszczerzył zęby, zawarczał, rzucił się na profesora i zaczął nim trząść z całej siły. Profesor wrzasnął i zbudził się.

* * *

Nad Danielsenem stał doktor Nyski i szarpał go, zapomniawszy widocznie o należnym szacunku.

– Zaczęło się! Straszne rzeczy!

– Już biegnę! – profesor zerwał się. Popędzili do dyspozytorni. Zalewała ją oslepiająca, białobłękitna, kłująca jasność, buchająca oknem. Ulewa blasku tłumiała światła przyrządów i kolorowe krzywe, wijące się po ekranach.

Profesor zasłonił oczy – nie sposób było wytrzymać takiego potopu światła. Po chwili

ściemniło się nieco, bo dwaj technicy zasłonili okno kocem. Nie było to doskonałe, ale na razie wystarczyło, można było widzieć.

– No, znośnie – mruknął Nyski. – Można wytrzymać. To chronokonwertory tak świecą, patrzyłem przez ciemne szkła. To wybuchło momentalnie, ten blask. Przyrządy przez chwilę szalały, niczego nie można było zaobserwować.

– Spodziewaliśmy się tego. Wskazania zanotowane?

– Tak, rejestrator stale pracuje, komputer też. Tylko moc bardzo wielka...

Profesor podszedł do pulpitu, popatrzył na skalę miernika: dwie pierwsze cyfry stały nieruchomo, trzecia zmieniała się co chwila, pozostałe migwały w szalonym tempie. Moc była potworna – czterysta gigawatów – i dalej rosła.

– Cóż, dużo – rzekł profesor. – Albo zatrzyma się koło pięciuset, tak jak liczyliśmy, albo...

– Właśnie. Ale chyba rośnie coraz wolniej.

– Mamy komputer, sprawdźmy.

Mignęły kolory tarczy, dyspozytornia zadygotała bezgłośnie, za oknami przeleciały czarne kształty i... Przetarli oczy, nie wierząc w to, co zobaczyli. Znikły szeregi olbrzymich hal fabrycznych, przed dyspozytornią rozpostarła się pusta, równa przestrzeń, na jej środku stało coś olbrzymiego – srebrzysty dysk na kilku podporach, a z jego wnętrza, po opuszczonej pochylni wytaczały się płaskie pojazdy, wypełnione postaciami w skafandrach. Przybysze byli nawet dość podobni do ludzi.

Pojazdy, sunące ponad ziemią z niegłośnym szumem, sformowały tyralierę i wolno ruszyły ku dyspozytorni. A w oddali zniżał się drugi srebrzysty dysk, za nim trzeci, czwarty...

Tyraliera pojazdów przyspieszyła gwałtownie, otoczyła dyspozytornię. Pierwszy stanął tuż przy drzwiach. Jeden z przybyszów wyskoczył z pojazdu, machnął ręką, rozbłysnął światłem i odezwał się dziwnie znajomym głosem:

– Profesorze, pora wstać! Układ pracuje, straszne rzeczy się dzieją! – zawołał Nyski.

– Już biegnę! – profesor zerwał się z połówki i razem popędzili do dyspozytorni...